

OBRAZEK z POCZEKALNI

Poranek pacjentów nanizal
na wyczekiwaniu strunę:
pacierki żywego różańca...

W ciszy oddala się, zbliża,
zongluje nadzieją
anioł w chloroformowej aureoli.
Biała siostra chmurą frunie
nad tym — co boli...
...pacierki żywego różańca.

Biała siostra posyła znaki:
lekarza wyczarowała — jak fakir
z czarnego cylindra zwątpień.

Na samą myśl już lepiej...
„Pan doktor zaraz...
zaraz...
zaraz...”

Pan doktor pacierki odklepie?...
Czy schyli się nad człowiekiem,
wspartym na lasce nadziei?

SZPAK

HANCE

Na gałęzi czarnej jeszcze, bo bezlistnej,
co do okna mi zagłąda z parku,
przysiadł szpak.
Skrzydłami prychał zamaszycie
i wiosenną rozpoczął pogawrkę.

Jeśli dobrze zrozumiałem jego śpiewny wywód,
to istota będzie chyba taka:
wiosny czas do serca przywiódł
i zagnieździł niecierpliwość w nim,
jak w dziupli cichej dotąd — szpaka...

Co warto wiedzieć o MTP?

„FOIRE OFFICIELLEMENT RECONNUE”

Mysł zorganizowania stałej instytucji targowo-wystawowej w Poznaniu zrodził się około roku 1920 wśród miejscowych kupców. Wzór dla projektu poznańskiego (sprężyną jego był Edward Mazurkiewicz, sekretarz Związku Towarzystw Kupieckich) — stano wiły Targi Lipskie. Uważano, że Poznań ze względu na swe położenie geograficzne i silne kupiectwo ma wszelkie dane po temu, by w życiu handlowym Polski odgrywać taką samą rolę, jaką w życiu Niemiec odgrywał Lipsk. Zakładano przy tym, że w Polsce istnieje może ograniczona tylko ilość instytucji targowo-wystawowych, a targi odbywać się będą w tym mieście, które pierwsze powoła je do życia. Gdy więc na początku 1920 r. urządzono targi w Gdańsku i do Poznania dotarła wiadomość o zamiarze stworzenia podobnej instytucji we Lwowie, pospiesznie przystąpiono do działalności.

Dla samej realizacji projektu decydujący był zjazd delegatów Związku Towarzystw Kupieckich w dn. 20 i 21 marca 1920 roku, na którym referowane przez Mazurkiewicza zadanie urzędowania targów w Poznaniu — stało się głównym przedmiotem obrad. Przeważała opinia przychylna. Ujawniła się jednak również pogląd, że ze względu na brak artykułów przemysłowych i ogólną ówczesną słabość gospodarczą kraju — należałoby realizację projektu odłożyć na później. Wówczas Mazurkiewicz, w obawie, iż odkładanie sprawy mogłoby przekreślić całe zamierzenie, postawił wniosek o zlecenie zarządowi Związku Towarzystw Kupieckich powołania Komitetu Targów Poznańskich dla zorganizowania targów. Wniosek ten został przez delegatów uchwalony.

Natychmiast po zjeździe przystąpiono do wykonania powyższej uchwały. Odbito szereg konferencji i wstępnych pertraktacji z ministrem b. dzielnicy pruskiej, z Centralnym Związkiem Przemysłu, Górnicztwa, Handlu i Finansów w Warszawie („Lewiatan”), a zwłaszcza z ówczesnym prezydentem miasta Poznania, Jarogniewem Drwęskim, który przychylnie ustosunkował się do przedłożonego projektu. Dla zorganizowania targów (w pierwszych zapiskach spotykamy określenie: targ, wystawa, jarmark, kontrakty) powołany został tzw. „Komitet Wystawy”, składający się z 44 osób, którego przewodniczącym wybrano prezydenta miasta Poznania. Na posiedzeniu „Komitetu Wystawy” w dniu 4 października 1920 r. Drwęski zaproponował dla zamierzonej instytucji nazwę „Kontrakty Po-

Dr Janusz Ziolkowski

konsultant ekonomiczny
zarządu MTP

znańskie” z podtytułem „Wystawa Wzorów Przemysłu”. Po dłuższej dyskusji uchwalono, że instytucja, która ma powstać, nosić będzie nazwę — „Targ Poznański”. Tak więc dzień 4 października 1920 roku uważać można za dzień narodzin późniejszych Międzynarodowych Targów Poznańskich.

Wyłoniony z „Komitetu Wystawy” tzw. „Komitet Scisy” już na pierwszym posiedzeniu dokonał wyboru dyrektora projektowanej instytucji targowej, którym został Mieczysław Krzyżankiewicz, sprawujący tę funkcję bez przerwy do września 1939 roku. Przygotowaniami do pierwszej imprezy zajęły się zainteresowane towarzystwa przemysłowe i kupieckie. Po przezwyciężeniu licznych trudności organizacyjnych dnia 28 maja 1921 roku został otwarty „Targ Poznański”.

Omawiając wszystkie zabiegi organizacyjne, należy podkreślić, że nie one były decydujące dla powołania do życia tak poważnej instytucji ekonomicznej. U podstaw powstania Targów leżały określone czynniki natury społeczno-gospodarczej. Kupieckie koła burżuazji były żywotnie zainteresowane w istnieniu instytucji, która by organizowała rynek w nowoutworzonym, nie zestrojonym jeszcze organizmie państwowym zapewniając im odpowiednie zyski. Kapitałisci poszukiwali także form pozwalających na zaprezentowanie wyprodukowanych artykułów i ułatwienie ich zbytu. Powstanie Targów ułatwiałoby poza tym penetrację obcego kapitału oraz orientację w wielkim rynku zbytu, jakim była Polska. Poprzez Targi firmy zagraniczne mogły kształtować ceny hurtowe, a ponadto regulować produkcję w interesie swoich trustów i koncernów (stad poparcie sprawy Targów przez wszechpotężny „Lewiatan”, ekspozyturę zagranicznego kapitału monopolistycznego w Polsce).

Sam Poznań wreszcie posiadał obiektywne warunki do odegrania roli miasta targowego: centralne położenie w stosunku do dwóch najważniejszych regionów gospodarczych kraju — przemysłowego Śląska i Wybrzeża, decydujących o udziale Polski w handlu światowym; rozwinięty system komunikacji kolejowej i kolejowej; żywe tradycje wystawiennictwa oraz pamięć roli Poznania jako ośrodka wielkiego handlu w okresie przedrozbiorowym; stosunkowo wysoki standard cywilizacyjny, sprawiający, iż Poznań mógł odgrywać rolę re-

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY

DODATEK „GŁOSU”

Niedziela 15 IV 1956

Rok VII Numer 15

Czas obalić mit prowincji

Napisał:
PIOTR GUZY

Tak się ostatnio dziwnie złożyło, że w stosunkowo niedługim czasie ukazało się w tzw. prasie centralnej kilka wypowiedzi wskazujących na niedowład życia kulturalnego prowincjonalnego miasta Poznania. Uderzyły mnie przy czytaniu tych korespondencji dwie rzeczy. Pierwsza to to, że o Poznaniu pisze się w Warszawie i w Krakowie! Druga to fakt, że autorami są poznaniacy. Nasunęło mi się tu momentalnie pytanie: czy rzeczywiście po to, aby napisać o Poznaniu coś krytycznego trzeba szukać miejsca w prasie warszawskiej i krakowskiej? Liczne fakty wskazują na to, że niestety tak. O krytycznych sprawach mówi się w prasie lokalnej głosem cichym, żeby bronił Boże ktoś go przypadkiem nie posłyszał. Z zasady przytem

mówi się ogólnikami, żeby znowu kogoś przypadkiem nie obrazić. A najlepiej milczeć, głowę schować jak struś w piasek i nie przerywać sobie błędnego snu.

To, co ostatnio pisano o Poznaniu jest, moim zdaniem, częścią szerszego problemu. Jest nim problem „prowincji”. Chciałbym się dłużej zatrzymać nad niektórymi jego aspektami.

U nas jest tak: kto może, ucieka ze wsi. I to nie konieczne od razu do Warszawy, na początek wystarczy jakieś miasteczko. Daje się tu zauważyć swoista hierarchia: ze wsi ucieka się do małego miasteczka, stamtąd do większego np. wojewódzkiego, z wojewódzkiego do Warszawy. Czy ktoś zdradza większe zapotrzebowanie na dobra kulturalne, tym większy i gwałtowniejszy u niego pęd do stolicy. Bo w stolicy wszystko jest „naj”: najlepsze teatry, najpiękniejsze rzekomo budynki, najlepsze zespoły zagraniczne (te bowiem rzadko, straszliwie rzadko wysyła się na prowincję), prasa na bieżąco (NB. „Trybuna Ludu” dochodzi do Poznania z jednodniowym opóźnieniem!!! W dwudziestym wieku!) i o wiele ciekawsza niż prasa prowincjonalna, w ogóle, jak powiada nawet popularna piosenka: „Jak zabawa, to tylko w Warszawie”. Warszawa stała się Mekką ludzi spragnionych kultury. Do Warszawy się jedździ z wycieczką, Warszawa w oczach ludzi z dalekiej prowincji jest przedmiotem marzeń (mój Boże!). Jeśli sytuacja radykalnie się nie zmieni, obawiam się, że za lat 50 Warszawa będzie Polska. Na razie jest odwrotnie, jak to dobrze wiedzą dziennikarze i literaci warszawscy, dla których wyjazd w tzw. teren jest wyjazdem w Polskę.

Socjalizm dąży do wyrównania różnic między miastem a wsią. Powiedmy sobie szczerze, jeszcze dużo wody upłynie w Warszawie, zanim to u nas nastąpi. Wprawdzie wszystkie nasze poczynania gospodarcze: elektryfikacja wsi, rozwój transportu, przemysłu terenowego (znowu ten nieszczęśliwy „teren”) zmierzają w tym kierunku, jednak proces ten będzie wymagał bardzo, a bardzo długiego czasu. Tymczasem jednak istnieje u nas dziwne zjawisko: z jednej strony posunięciami ekonomicznymi staramy się zniwelować przepaść dzielącą wieś od miasta, prowincję od stolicy, z drugiej zaś strony, lewą nie jako ręką, żeby prawa nie widziała, dokładamy wszelkich starań, żeby prestiż kulturalny prowincji obniżyć. Przykład: utworzono reprezenta-

cyjną operę, do której ściągano co najlepszych artystów z prowincji; bez tego by opera nie powstała! Bezpośrednia konsekwencja takiego kroku było obniżenie poziomu istniejących oper. Albo inaczej: dla celów jednej reprezentacyjnej opery w Warszawie poświęcono wszystkie inne. W moim mniemaniu tego rodzaju postępowanie uraga podstawowym zasadom zdrowego rozsądku. Wydaje mi się, że należało się do tego inaczej zabrać: dać wszystkim operom w Polsce szanse równego rozwoju, najlepszą zaś uznać za reprezentacyjną, jeśli już taką konieczność nie chcemy mieć. Czy rzeczywiście musi ona być akurat w Warszawie? A dlaczego nie w Bydgoszczy, czy w Poznaniu lub na Wybrzeżu? Proszę, niech mnie ktoś przekona, że w moim rozumowaniu coś szwankuje.

Czy ucierpiałaby takie np. „Iskry” lub jakieś inne wydawnictwo, gdyby za siedzibę obrały nie Warszawę, a dajmy na to Lublin? Jedynym zbawiennym rezultatem tego byłoby to, że w Warszawie mieszkaliby trochę mniej literatów, redaktorów, korektorów itd., trochę zaś więcej w Lublinie. Gdybyśmy w ten sposób porozstawiali dużą część naszych tzw. centralnych instytucji (a nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy tego zrobić) po różnych miastach wojewódzkich, poziom kulturalny kraju zacząłby się stopniowo wyrównywać.

Nie wyrzekajmy na prowincję, że nie się na niej nie dzieje. Na prowincji mieszkają tysiące ludzi, którzy mogliby z siebie dać o wiele więcej dla dobra całego społeczeństwa, gdyby tylko stworzono po temu odpowiednie warunki. Fakt, że jest źle, nie jest winą prowincji. Błąd leży u podstaw naszego planowania kulturowego, które z przyczyn nie mających nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem zasada się na centralizmie.

Nie jest prawdą, że ludzie kultury na prowincji śpią. Jest wprost przeciwnie, bronią się wszelkimi sposobami przed centralnym skazaniem ich na śpiączkę. Dam przykład: we wrześniu 1954 roku utworzył się zupełnie samorzutnie w Poznaniu zespół ludzi z kręgu literatów i plastyków, który postanowił stworzyć własne pismo kulturalne. Po miesiącach wyteżonej kampanii, w której należało przekonywać odpowiednie czynniki o konieczności powstania takiego pisma, z inicjatywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR zwołana została konferencja przedstawicieli świata kulturalnego Poznania dla zapoznania się z koncepcją proponowanego pisma. Projektanci szeroko przedstawili koncepcję, zaznajomili zebranymi ze słupką makieta pisma, poczem potoczyła się długogodzinna dyskusja. W rezultacie której stwierdzono, że inicjatywa jest realna i warta poparcia. Potem rozpoczęły się starania o pieniądze, papier, zaczęto zbierać materiały do pierwszego próbnego numeru, który w założeniach projektodawców miał się stać podstawą szerokiej dyskusji wszystkich zainteresowanych stron. Starania wlokły się przez sześć miesięcy. Wreszcie przy poparciu KW Wydziału Kultury WRN, Frontu Narodowego i osobistego błogosławieństwa wiceministra Wilczka — wszystko było gotowe. Wszystko to działo się w warunkach niesłychanie ostrej, zjadliwej, nieprzebiegającej w środkach walki. Wytlumaczę dlaczego. W każdym, niestety, środowisku są koty, kliki i klikizki. W większych środowiskach zjawiska te w jakiś sposób z sobą się niwelują. W małym środowisku sprawy te nabierają nieco innego zabarwienia. Dość, że wokół „Nurtu”,

(Dokończenie na str. 2)

Joséphine Baker
zeszła tylko
ze sceny teatralnej

W tych dniach pożegnała się na zawsze ze sceną, jedna z największych artystek operetki i music-hall'ów światowych. Joséphine Baker zakończyła swe występy u szczytu kariery. Pozostała — jak zwykle — najbardziej prostą i czarującą kobietą. Obecnie, wspinała gwiazda murzyńskiego pochodzenia, wycofuje się z życia scenicznego, by poświęcić się wychowaniu swych sześciorga zaadoptowanych dzieci i walce z dyskryminacją rasową.

Taką wiadomość przyniosły dzienniki francuskie zamieszczając wywiad udzielony przez nią prasie. Oto, co powiedziała między innymi Joséphine Baker dziennikarzom francuskim:

„Są ludzie, którzy nie chcą wierzyć, że już odchodzę. Ale to jest nieodwołalne! Trzydzieści lat upłynęło od momentu mego przybycia do brzegów wolnej Francji. Miałam wówczas 19 lat i nowa ojczyzna pomogła mi rozwinąć mój talent. Przedtem znałam tylko „pańszczyznę”. Dziadkowie moi zostali sprzedani na targowisku jako niewolnicy. Rozdzielono ich od siebie, wywożąc na Marynijkę (wyspa francuska na Morzu Karaibskim). Urodziłam się w Saint-Louis nad rzeką Mississipi i stamtąd przyjechałam do Francji... Jako małe dziecko widziałam wojnę ocywłą między białymi a czarnymi; biali palili domki mych braci, gdyż byli oni czarnymi!”

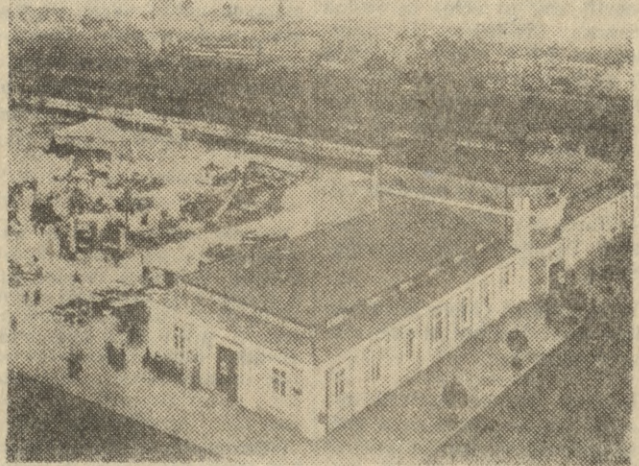
Opowiadając o swej działalności społecznej jako bojowniczką o zniesienie dyskryminacji rasowej, Joséphine Baker oświadczyła:

„Powróciłam niedawno ze Skandynawii: w Sztokholmie zorganizowałam siedem konferencji na temat rasizmu, a w Kopenhadze dziesięć. Przemawiałam w szkołach, na wyższych uczelniach, przed różnorodną publicznością, ponieważ problem ten interesuje wszystkie warstwy społeczne... Obecnie po opuszczeniu sceny, będę podróżowała, aby przemawiać nadal. Wydaje mi się bowiem, że występując w walce o braterstwo między ludźmi ze względu na ich kolor skóry, zdobyłam duże doświadczenie. Wiem dobrze, że droga do tego jeszcze daleka... Pytacie mnie, czy byłam w ciągu mej kariery życiowej prześladowana za kolor skóry? Tak! Ostatnio aresztowano mnie w Kanadzie, a przedtem jeszcze kilka razy...”

W zakończeniu swego wywiadu prasowego Joséphine Baker powiedziała:

„Zamieszkam na wsi w Dorogne (dep. w południowej Francji), gdzie poświęcę się wychowaniu swoich przybranych dzieci o rozmaitym odcieniu skóry. Przyjmę jeszcze do mego domu siódmę; będzie nim małe Hindusiątko o skórze różowej, które otoczę podobną miłością, jak moje pozostałe dzieci... Patrząc na nie, kiedy bawią się z innymi dziećmi z mej wsi, widzę, że nie jest prawdą, jakoby różnica skóry mogła być przeszkodą w zbrataniu się ludzi. W chwili gdy poświęcam się domowi oraz swej wielkiej idei życiowej, łatwiej mi będzie znieść rozstanie się ze sceną. Chcę kontynuować swą pracę i żyć głębiej, aby walczyć o zniesienie różnic między ludźmi...”

(J)



Fragment terenu otwartego z maszynami rolniczymi na „III Targu Poznańskim”.

Ze zbiorów archiwum MTP

W kręgu Rembrandta

Czas obalić mit prowincji

(Dokończenie ze str. 1)

REMBRANDT VAN RIJN:
Autoportret.



AERT DE GELDER: Vertumnus i Pomona.

nia dzieł wielkiego Holendra przypomnieć i jego postać.

Rembrandt Hermesz van Rijn urodził się w Lejdzie w r. 1606 w rodzinie młynarza. Niezwykle zdolności i wybitna indywidualność sprawiają, że po studiach u paru malarzy Rembrandt jest już w roku 1625 artystą zupełnie dojrzałym. Maluje sceny religijne o skomplikowanej grze światła i cieni. Głównym zainteresowaniem artysty staje się postać ludzka, a szczególnie twarz, z bogactwem malujących się na niej przeżyć. Tematem nieustannych studiów jest dla niego własna twarz. W ciągu swego życia Rembrandt wykonał niezliczoną ilość autoportretów, które ułożone chronologicznie stanowią pasjonującą kronikę przeżyć i stanów ducha tego człowieka.

W r. 1632 artysta osiada w Amsterdamie. W tymże roku powstaje jego sławna „Lekcja anatomii”. Małżeństwo z Saskią van Uylenburgh daje mu obok szczęścia osobistego, również możliwość dostatecznego życia, założenia bogatej pracowni i kupna wielu drogich dzieł sztuki.

Są to najszcześniejsze lata Rembrandta. Uzany i powszechnie ceniony, zasypywany jest zamówieniami, jego obrazy są w wysokiej cenie. Miłość Saskii stwarza mu pełną radości atmosferę życia rodzinnego. Wśród portretów pochodzących z tego czasu wiele poświęconych jest ubóstwu i żonie, będącej ulubionym modelem artysty. O jego szczeci mawia też roześnany autoportret z Saskią na kolanach i z kielichem wina w podniesionej ręce.

Kres temu szczęściu przynosi rok 1642: umiera Saskia. Wraz z tą śmiercią rozpoczyna się niepowodzenia artysty. Bezpośrednią ich przyczyną jest malowany na zamówienie „Portret zbiorowy członków bractwa strzeleckiego”, w którym Rembrandt odszedł od przyjętej formy grupowego portretu. Zraża to do niego zleceniodawców, a wraz z nimi całe bogate mieszczaństwo. Warto dodać na marginesie, że to — jedno z najznakomitszych — dzieł Rembrandta przez setki lat niesłusznie zwane było „Nocnym rontem”. Do piero po zdjęciu szerniałego werniku okazało się, że obraz przedstawia wymarsz strzelców nie w nocy (jak sądzono), lecz w mgliste popołudnie.

Rembrandt wypada z mody, kończą się dobre płatne zamówienia, coraz mu trudniej sprzedawać swe prace. Rosną długi, dla spłacenia których artysta likwiduje mieszkanie i pracownię, sprzedaje dom i wraz z synem Tytusem zamieszkuje w uboższej dzielnicy.

Rozmaitości

Z okazji 350 rocznicy urodzin malarza holenderskiego — Rembrandta, Związek Radziecki i Holandia dokonają w bieżącym roku wymiennych wystaw obrazów tego wielkiego artysty.

W Stanach Zjednoczonych nagrane zostały na płytach koncerty, pozbawione partii solisty; obecnie każdy wirtuoz będzie mógł wykonać swą część solową na tle całej orkiestry, kiedy mu się tylko żywnie podoba.

Bułgarska Akademia Nauk obejmuje swą działalnością 35 instytucji naukowych, wiele muzeów oraz placówek doświadczalnych; po wyżej 1.000 laboratoriów współpracuje z instytucjami.

Pewne towarzystwo z Hollywood zamierza nadać przez telewizję film Jules Verne'a — „Tajemnicza wyspa”. Kola filmowe są poważnie zaniepokojone, widząc w tym wydarzeniu niezwykle groźną konkurencję dla przedstawień filmowych.

Słynny tenor włoski — Lauri Volpi dokonał analizy głosu ostatnich pięciu papieży, dochodząc do następujących wniosków: Leon XIII posiadał wspaniały baryton, Pius X śpiewał głosem słabym — lecz dość znośnie, Benedykt XV i Pius XI byli bez słuchu, a Pius XII dysponuje głosem ostrym, lecz muzycznym.

W pewnym grobowcu rzymskim niedaleko hiszpańskiej miejscowości Alhambra, znaleziono flakonik szklany, zawierający płyn z miłym zapachem; znawcy twierdzą, że jest to perfuma sprzed 2.000 lat.

„Przyjaciel żonatych” — czyli 100 usprawiedliwień dla późno wracających mężów, ukazał się w pewnym wydawnictwie sztokholmskim. Podręcznik rozprzeczony został w przeciągu 48 godzin, przy czym największym powodzeniem cieszył się wśród... kobiet zamężnych!

Premier Egiptu — Nasser, wydał zarządzenie, na mocy którego wszyscy obywatele zmienili w imię w okresie 3 lat swój strój orientalny na ubiór europejski. Specjalny fundusz przewiduje odbieranie poważnej części ludności bezpłatnym zmierzonym w odzieniem.

Filarmonicy wiedeńscy powracali ze swego tournée po Japonii samolotem. Gdy znaleźli się nad Biegunem Północnym, rozpoczęli nadawanie koncertu, który transmitowano jednocześnie przez radio.

Amsterdamu. W tych ciężkich latach pogłębiającej się nędzy dużą pomoc duchową okazuje mu druga żona, Hendrickje Stoffels, prosta dziewczyna wiejska, przyjęta po śmierci Saskii na opiekunkę Tytusa.

W twórczości Rembrandta wracają tematy religijne, pełne dramatycznego napięcia. Obok nich powstają przesycone tkliwością portrety Tytusa, poważne podobizny uczonych, znakomite typy żydowskie. Dzieła artysty z tego ostatniego okresu życia cechują silne zmagania się wewnętrzne, szalona pasja i drapieżność w stosunku do modeli. Odrzuca zbędne szczegóły, maluje szybko i szeroko. Obrazy jego, jak dawniej, toną w mrokach, z których kontrastowo wydobywają się najjaśniejsze motywy. W ostatnich latach powstaje słynny portret zbiorowy — „Cech sukienników”.

Rembrandt umiera w Amsterdamie w roku 1669, opuszczony, zapoznany, w skrajnej nędzy.

W życiu Rembrandta malarstwo nie jest jedynym uprawianym przezeń działem sztuki. Wraz z malarstwem, równoległe z nim, artysta pracuje w technikach graficznych, osiagając niespotykane dotychczas mistrzostwo. Akwaforty i suchoryty Rembrandta, podobnie jak jego rysunki, świadczą o bardziej malarskim niż graficznym widzeniu świata, wygrywają efekty miękkich, przenikających się wzajemnie światła i cieni. Grafika Rembrandta, podobnie jak jego malarstwo, wpłynęła zapładniając na późniejsze pokolenia twórców. Wśród nich nie brakło i artystów polskich, a Michał Płóński zwany jest nawet „polskim Rembrandtem”.

Wystawa w Muzeum Narodowym jest odpowiedzią na uchwały Światowej Rady Pokoju i UNESCO, które postanowiły rok bieżący, związany z 350-leciem urodzin artysty, uznać za Rok Rembrandtowski. Założeniem wystawy jest — w oparciu o posiadane w Polsce eksponaty — ukazanie Rembrandta i jego kręgu w jak najpełniejszym świetle. Niestety, szczupłość naszych zbiorów nie pozwoliła na zbyt szerokie eksponowanie samego Rembrandta. Z obrazów olejnych mistrza znajduje się na wystawie zaledwie osiem, w tym kilka wypożyczonych przez zaprzyjaźnione muzea w Pradze i Schwerin; w najbliższym czasie spodziewane jest nadejście dwóch obrazów z Leningradu. Bogatszy jest dział grafiki i rysunku. Tu — obok eksponatów pochodzących ze zbiorów polskich — wystawiono także eksponaty nadesłane z Amsterdamu i Wiednia.

Znacznie pełniej niż Rembrandt ukazani zostali jego poprzednicy i uczniowie. Wśród tych pierwszych szczególnie poważną pozycję stanowią obrazy P. Lastmana — nauczyciela Rembrandta. Z uczniów i naśladowców, których nazwiska w dziejach sztuki liczą się na setki, ograniczono się do pokazania jedynie Holendrów. Wśród nich jest wielu wielkich, znanych twórców, jak G. Dón. Fr. Bol. B. Cuyp. J. Lievens. Rembrandtyści polscy mają być tematem osobnej ekspozycji.

Andrzej KOSSAKOWSKI

„FOIRE OFFICIELLEMENT RECONNUE”

(Dokończenie ze str. 1)

instytucja ta nie może być obliczona na zyski, ale raczej posiadać winna znamiona organizacji o charakterze społecznym. Obawy były słuszne, albowiem Targi Poznańskie należały właśnie do nielicznych instytucji targowych w Europie, które były samodzielne pod względem finansowym.

Zrazu coroczne odbywanie się targów uzależnione było od decyzji Ministerstwa Przemysłu i Handlu, które każdorazowo udzielało zezwolenia na ich urządzenie w określonym terminie. Dnia 28 lutego 1923 roku rada ministrów — na wniosek ministra przemysłu i handlu zatwierdziła uchwałę rady miejskiej miasta Poznania w przedmiocie corocznego urządzania Targów. Pierwsze cztery Targi miały charakter wyłącznie krajowy. Dopiero uchwała Deputacji Targów z dnia 2 czerwca 1924 roku, zatwier-

bo tak się miało nazywać piśmo, rozciągała się z jednej strony znowa milczenia poważnej grupy ludzi, którym nie na rękę było, że zespół młodych marksistów ma zamiar wydawać pismo i, co gorsza, ma wszelkie szanse na urzeczywistnienie swoich projektów, z drugiej strony zaś rozpoczęły się zakulisowe gierki, perfidne kampanie obmowy, które w końcu doprowadziły do upadku pisma. A stało się tak: w marcu 1935 roku „Nurt” został złożony, zespół organizacyjny przesiedział całą noc w drukarni. Rano nadszedł telefon odwołujący zgode oficjalnych czynników. Dosłownie w dwie godziny przed wyjściem numeru spod prasy! Dlaczego? Bo, jak się potem okazało, urażono ambicję jednego z radnych wojewódzkich, który od kilku lat widział siebie na stanowisku naczelnego redaktora pisma kulturalnego, które miałyby kiedyś ewentualnie powstać w Poznaniu. Odtąd, radny ten, jak oświadczone organizatorom zagroził, że jeśli dopuści się do ukazania „Nurtu”, on (ów radny) zrezygnuje z wszystkich swoich funkcji społecznych. A miał ich, trzeba przyznać, sporo. Groźba była widocznie realna, skoro władze uznały za konieczne cofnięcie swego poparcia, zaprzeczenie kilku nastu tysięcy złotych. Warto tu nadmienić, że organizatorzy „Nurtu” od początku swej pracy (bezpłatnej), zdając sobie sprawę z walki toczącej się wokół pisma, zastrzegali się przy wszystkich okazjach, że z chwilą wyjścia pierwszego próbnego numeru zrzekają się wszelkich pretensji do dalszego jego prowadzenia, pozostawiając zadanie wyłonienia składu osobowego redakcji ogółowi świata kulturalnego Poznania. Bardziej fair sprawy postawić nie było można.

„Nurt” utopiono. Stała się wielka krzywda nie organizatorom, ale życiu kulturalnemu Wielkopolski, całoci kultury Polski. Rzecz charakterystyczna: po storpedowaniu „Nurtu” zaprzestano o nim mówić, tak jakby nigdy coś takiego nie istniało. Nawet cotygodniowy felietonista „Expressu Poznańskiego”, który zabiera zwykle głos na temat wszystkiego, co się w Poznaniu dzieje i jest bardzo pomysłowy w wyszukiwaniu tematów do swoich felietoników, tym razem nabrał wody w usta. Nie wiem, czy miał kiedykolwiek z tego powodu wyrzuty sumienia. W ogóle, wokół nieszczęsnego periodyku, któremu nie pozwolono urzeczywistnić swego, rozciągało się od tego czasu morze milczenia. Sądzę więc, że jednak wyrzuty sumienia były. Czas najwyższy, wydaje mi się, żeby tę sprawę wyciągnąć na światło dzienne, dotrzeć do jej sedna a tym, którzy zawinili, wytknąć ich błędne stanowisko. Skoro bowiem mówi się znowu o wielkopolskim piśmie kulturalnym — to sprawy „Nurtu” muszą być wyjaśnione. Kropka nad „i” jest niezbędna!

3.

Prowincja, wbrew ogólnemu przekonaniu nie śpi. Prowincja nie chce być „prowincją”. Prowincja domaga się, żeby ją przestano klepać po ramieniu, żeby ją przestano traktować jak ubogiego krewnego. Najwyższy czas, żeby odpowiednie czynniki to zrozumiały i wyciągnęły z tego wnioski dla siebie.

Piotr GUZY

CZTERE WIDZENIA OPOWIADANIE

Józef Hałagowski

Ojciec usiadł naprzeciwko syna, by mu się lepiej przyjrzeć. W świetle lampy naftowej twarz Franka wydawała mu się starsza, jakby przybiło jej zmarszczek na czoło, tylko oczy miały ten sam wyraz zdziwienia i pytania jak dawniej, kiedy jako chłopak popędzał krowy na pole. Coś tam matka mówiła do syna, dokładając placaka i dolewając kawy. Co artystę może obchodzić, że krowa się wycieliła, że maciora dała aż pięć naciścio prosiąt, że skórki z za bitych owiec są już w garbarni? Raczej sprawy wzniosłe, polityczne, wielkie. Matejko nie malował prosiąt, ale Hołd pruski, Batorego pod Pskowem, Tadeusza Kościuszkę na polach racławickich — samych bohaterów narodowych. Franek na pewno nie gorszy od tego malarza. Przecież parę obrazów ministerstwo zakupiło! Na pewno jakiś obraz przywiozł ze sobą. Coś z wydarzeń historycznych. Każe się płótno lub karton oprawić w duże złote ramy. Aż pokój pokrasnieje. Nie na darmo rodzina od mawiała sobie wiele w czasie nauki chłopaka w liceum i na wyższej szkole. Cała wioska zjeździe się, będą podziwiać.

Łagoda strząsnął popiół z papierosa i zaczął ręką rozrzucać kłęby niebieskiego dymu. Chciał widzieć twarz Franka. W twarzy, wiadomo, tyle można wyczytać co w księżce. Trochę razila go manczestrowa młynarka, jakaś niedbałość w stroju. Stać go przecież na coś lepszego — myślał.

Tymczasem matka postawiła przed gościem kubek.

— Zupełnie zapomniałam o śmietance, a już wczoraj Zosia mi o niej przypominała — stwierdziła i w dalszym ciągu zasypywała drobiazgowymi informacjami i pytaniami.

— A pamiętasz o obrazie dla domu? — brzmiało nowe matczyne pytanie, stawione prawie że razem z nową filiżanką kawy.

„Na pewno — myślał ojciec dalej — będzie domagać się św. Józefa. Już drugi rok nie daje synowi spokoju. Uparła się o tego świętego i to konieczne z dzieciątkiem Jezus i z liłiami na tle nieba”.

Franek podniósł swoje ciemno oprawione oczy.

— To nie taka prosta sprawa, mamo — odpowiedział, topiąc białe zęby w zarumienionym kawałku świeżego placaka. — Tyle zresztą w naszym domu świętych, że chyba ich za dużo.

— Masz rację — spróbował wtrącić się ojciec. — Przydało by się coś innego. Matka kościół by robiła z mieszkania!

Już chciał objawić swoje ukryte życzenia, lecz zatrzymał się. Po co? Na pewno ma Franek w swojej teczce to, o czym z dawną marzy.

— Nie wtrącaj się! Przecież idzie o twego patrona. Zupełnie spoganiałeś od tego czasu, jak ciebie wybrali na gromadzkiego radnego i na przewodniczącego tej komisji od zdrowia i kultury. Tylko mi świętych z domu nie wypędzaj, bo to do niczego nie prowadzi. A może ty, Franek — zwróciła się zaraz do syna — też już jesteś na bakier z Panem Bogiem? Ino z nim nie zadzieraj! Zawsze modliłam się, żebyś malował kościół i święte obrazy. Bo w tym chwala boża i dobry zarobek od księdza probosza.



cza. A świętego Józefa musisz mi namalować! Dla matki — rozumiesz?

— A jak będzie co innego?

— Co? Może naga ładaczniczka, co to nogi moczy w wodzie, jak jest u tego, jak mu to na imię... W piecu zaraz spale. Żadnych świni! Wiem, że wy malarze macie w głowie przewrócone. Bezwstydni jesteście. W muzeum widziałam takich nagusów, że spowiadać się musiałam!

— Ależ mamo, inaczej trzeba patrzeć na sztukę!

— Już ty mi okularów nie zakładaj. Dobrze widzę, co światło, a co nie. Co by powiedział kłódzki wikary, albo proboszcz, gdyby coś takiego u nas zobaczyli?

Łagoda zachnął się ze zniecierpliwienia. Ot, babskie zadanie.

Nie ma czegoś innego na obronę — zaraz do księdza proboszcza o pomoc. I żeby to kobiecisko choć coś znało się na prawdziwej sztuce! Tylko Franek zraża taką mową zaraz po przywitaniu i pierwszym poczęstunku.

— Franek, matki nie przegadasz! — postanowił przerwać gorącą rozmowę — jak uweźmie się na świętego, to i sam Pan Bóg nie da rady.

— Już ty nie dmuchaj z nim w jedną dudkę! — odcięła się i rozniewiana wyszła do pokoju. W kuchni zapanowało kłopotliwe milczenie. Przerwała je Zosia, stawiając tuż przy

drzwiach wejściowych wiadro pełne białego płynu.

— Napij się świeżego mleka? — zapytała.

— Nie, dziękuję ci. Najadłem się jak nigdy.

— To zapalimy sobie papierosa — ojciec podsunął mu pudełko Giewontów. Była za palka. Kola niebieskiego dymu zawisły nad lampą. — A teraz pokaż, coś tam nowego przywiózł, bom ciekaw.

Syn się ociągał.

— Widzi ojciec... nowa sztuka musi iść z duchem czasów, a nawet go wyprowadzić. Musi wrzucić, by na świecie było lepiej, musi o coś się bić. To nie fotografowanie za pomocą pędzla.

— Po co mi to wszystko mówisz? Pokaż!

— Boję się, że ojciec wiele nie zrozumie. — Franek odsunął papieros na brzeg stołu i wyciągnął gruby karton z bloku rysunkowego. Zosia postawiła wiadro przy centrifudze i podeszła, a za nią matka. Młody artysta cytował pełnymi niepokojem i pytaniem przemknął po trzech pochylonych nad obrazem twarzach.

Dziwny obraz. Na szarej, zarowanej ziemi, wielka rozwartą dłoń. Poduszki u palców stwarzały odprawy. Pomiędzy palcami brudny pył, jakby osiadał w czasie orki na polu lub pracy w fabryce.

— Franek, co to jest? — rozczarowanie zabrzmiało w głosie Zosi.

— To obraz pod tytułem „Ojczyzna”. Przypatrzyć się bliżej!

Bliżej na odciskach i na dolnej poduszce serdecznego palca coś w kształcie miasta i fabryk, siatka linii — to jakby sieć kolejowa, pomiędzy nimi pochylające się od ciężaru ziarna kłosa. Kolor dymu fabrycznego, czerwieni i bieli domów dziwnie kontrastuje ze słonecznością pola.

— Wiesz, Franek, nic nie rozumiem. Czyś ty czasem nie pomylił się, przecież to żadna ojczyzna. Myślałam, że przywiesz jakiś ładny wschód lub zachód słońca w lesie, z sarnami, taki obraz, jaki jest u naszego nauczyciela. A ty... — wymówiła Zosia.

Matka wrzuciła ramionami: — Lecz się, Franek, a zawczasu! To chyba od przemęczenia.

W szorstkim głosie brzmiała mimo wszystko nutka serdecznej troskliwości.

Łagoda odsunął karton, zaciągnął się papierosem i milcząc patrzył w czubek swoich roboczych butów. Czoło pokryły gęste zmarszczki.

Na stole pachniał świeży placek i dymiąca kawa.

BRONISŁAW BRONKOWSKI - BORTNOWSKI

Urodził się w Warszawie przy ul. Waiłow 25, dnia 8 IV 1894 r. Ojciec jego — urzędnik — od kilku miesięcy już nie żył. Matka borykała się z trudnościami wychowania i wykarmienia dwojga drobnych dzieci: Bronka i o dwa lata starszej jego siostry Stefani (późniejszej działaczki KPP — zmarła młodo na gruźlicę, której nabawiła się w sanacyjnym więzieniu w 1926 r.). Gdy Broniek miał 7 lat, umierała matka i na tym kończy się jego i tak niebyły bez troski dzieciństwo. Opiekują się nim kolejno krewni: M. Bortnowska, a później stryjek notariusz.

Szkół średnią Pancewicza kończy w Warszawie i ma zamiar kształcić się dalej, aby zdobyć zawód geometry. W tym czasie jednak zostaje członkiem ZNMS i po graża się całkowicie w konspiracyjnym życiu politycznym. Jakież jest tedy zdumienie spokojnego, prawo myślnego notariusza, gdy kiedyś w jego domu — zamiast Bronka — zjawiają się zandarmi i przeprowadzają gruntowną rewizję. O dalszej nauce nie ma już mowy. 18-letni Bortnowski zostaje w 1912 r. członkiem SDKPiL.

Najtrudniejsze jest zawsze pierwsze zadanie bojowe. Partia poleca Bortnowskiemu przetrwać literaturę przez ówczesną granicę między c.-k. Austrią a Rosją. Mimo pewnych trudności i niezbyt przyjemnych przygód zadanie zostaje pomyślnie wykonane. Bortnowskiemu SDKPiL w dalszym ciągu powierza sprawę techniki ulotek. Pracuje teraz wraz z towarzyszem Leńskim — późniejszym generalnym sekretarzem KC KPP. Do organizacji nasyłany zostaje z polecenia prowokatora Malinowskiego — prowokator Afanasjew i chce podstępem wydstać adres składu ulotek. Dzięki czujności SDKPiL-owców skład nie wysypał się, natomiast posypały się liczne aresztowania. Wpadł wszyscy, z którymi kontaktował się Afanasjew. Aresztowano i Bortnowskiego. Wyrok brzmiał: 4 lata więzienia. Był to pamiętny rok 1914. Bortnowskiego wraz z innymi więźniami politycznymi przewieziono do więzienia w Saratowie, skąd w lutym 1917 r. wyszedł dzięki wypadkom rewolucyjnym w Rosji. Nie pozostało to bez wpływu na jego dalszą drogę rewolucyjną. Bierze bowiem czynny udział w Rewolucji Październikowej, jest członkiem Komisarjatu do Spraw Polskich. Równocześnie pełni funkcję sekretarza „Trybuny” — polskiego pisma rewolucyjnego wydawanego w Rosji.

W 1918 roku zostaje powołany do trudnej i odpowiedzialnej służby w W. Cz. K.

W lecie 1918 roku na polecenie przewodniczącego W. Cz. K. — Dzierżyńskiego, przeprowadza wraz z towarzyszem L. S. Millerem i Szenkmanem oraz innymi rewizję w konsultacji angielskim w Petersburgu. „Rewizja dała nadzwyczaj obfity materiał demaskujący perfidie koalicji w stosunku do Rosji” — czytamy w „Trybunie” z 4 września 1918 roku. „Niestety, nie obyło się bez ofiar — czytamy dalej. — Przedstawiciele „liberalnej” Anglii i „demokratycznej” kontrrewolucji rosyjskiej spotkali naszych towarzyszy gładem kul. Zabity został tow. Lison. Cieżko ranny w brzuch został tow. Szenkman. Nie bacząc na grad kul, tow. Bortnowski nie zmieszał się i aczkolwiek niewprawy w strzelaniu rozpoczął ogień z brzoźniny w kierunku napastników, po kilku wystrzałach jednak został ciężko ranny w szyję. Dzięki energicznemu działaniu żołnierzy z rewolucyjnej straży Petersburga, strzelający zostali rozbrojeni i aresztowani...”

Cieżko ranny Bortnowski nie dawał znaku życia. Kula wystrzelona z bliska prosto w twarz przeszła przez kręgi szyjne, naruszając spłot nerwowe w pobliżu kręgosłupa. Wraz z innymi, którzy oddali swe życie sprawie rewolucji, przeniesiono go do Bortnowskiego do kostnicy. Leżał tam pośród grona towarzyszy, obojętny na sprawy tego świata, nieprzytomny. Aż usłyszał nad sobą starych, kobiecych głos: „Patrzcie,

taki młody, a już musiał umrzeć”. Słowa te dotarły do świadomości Bortnowskiego. Drgnął — i ruch ten został przez kobiety zauważony. Wszczęto alarm, Bortnowskiego zamiaszt w ostatnią drogę, poniesiono do szpitala. Zanim to się jednak stało, w „Prawdzie” ukazał się jego nekrolog. Było to wówczas, gdy wszyscy przypuszczali, że nie żyje. W czasie jego choroby — jak wspominał stary towarzysz — kilkakrotnie interesował się nim Lenin, polecając lekarzom szpitalnym, aby zajęli się Bortnowskim tak, jakby się zajęli nim samym. Po ośmiu przeszło miesiącach wyszedł Bortnowski ze szpitala, nigdy już nie odzyskując całkowicie zdrowia. Pozostał mu częściowy paraliż prawej ręki i nogi. Niemniej jednak w okresie interwencji zostaje skierowany na odpowiedzialne stanowisko w sztabie Zachodniego Frontu. Za zasługi dla rewolucji przyznano mu order „Bojowego Czerwonego Sztandaru”. Order ten był wówczas w ZSRR odznaczeniem najwyższym, rzadko nadawanym.

Od 1920 do 1929 roku pracował Bortnowski na wielu zagrożonych odcinkach, na które wysyłała go partia.

W 1929 roku wraca do kraju do nielegalnej pracy w KPP, gdzie pełni funkcję członka KC i Biura Politycznego. Towarzysze wspominali go z tego okresu jako jednego z najbardziej ideowych i oddanych sprawie ludzi, budzących podziw bezgranicznym poświęceniem dla partii w okresie najtrudniejszej działalności — w warunkach zupełnej konspiracji. Uczestniczył wówczas w V i VI Zjeździe KPP, jest delegatem na VII Kongres Międzynarodówki Komunistycznej. Od 1934 r. był prawie do końca istnienia partii przedstawicielem KPP w Komitecie Wykonawczym Międzynarodówki Komunistycznej, a od roku 1935 był członkiem i jednym z sekretarzy KWMK. Jako reprezentant KPP był delegatem na XVII Zjazd KPP(b).

Był utalentowanym teoretykiem. Pod pseudonimem partyjnym Bronkowski napisał szereg artykułów w „Nowym Przeglądzie”, poświęconych działalności i zadaniom KPP. Był naczelnym redaktorem teoretycznego organu M. K. pt. „Międzynarodówka Komunistyczna”.

W życiu osobistym niezwykle skromny i uczciwy starał się nie czynić nie wyróżniać spośród towarzyszy. Mimo np. przydzielonego mu przez Komintern służbowego samochodu (w ZSRR), tylko w wyjątkowych okazjach z niego korzystał, często nawet ze szkoda dla swego nadwężonego zdrowia.

Przez ostatnie swe lata Bortnowski przebywał stale w ZSRR. Pracując w warunkach legalności mógł zająć się dziełmi, pójść z synem do kina, choć i wtedy zda-

rzało mu się, że zmęczony i wyczerpany nadmierną pracą usypia. W młodości w wolniejszych chwilach zajmował się malarstwem, do którego wykazywał duże zdolności; przechwalało się jeszcze nieco jego szkiców malarskich. Chętnie grywał w szachy, co stanowiło dlań nie tylko rozrywkę, ale i gimnastykę umysłu — a był doskonałym szachistą. Zarówno w życiu codziennym, jak i w pracy partyjnej był bezkompromisowy, wymagający wiele od ludzi, ale bez porównania więcej od siebie.

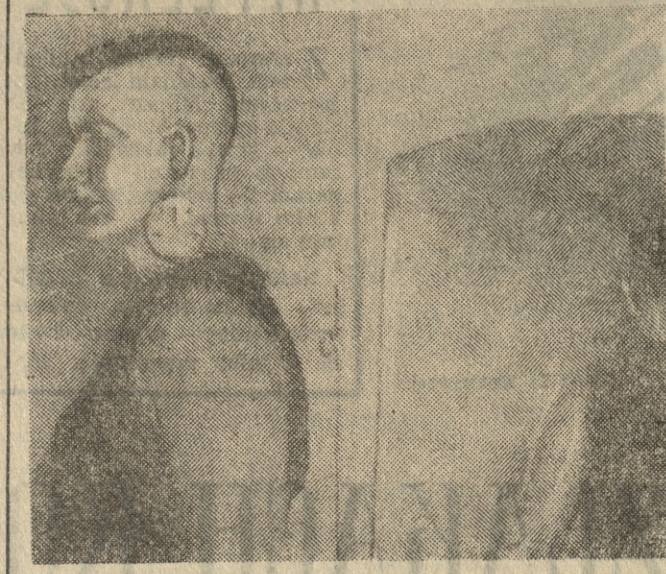
Stanowił przykład, jak ma żyć i walczyć o sprawę ludu prawdziwy człowiek i rewolucjonista.

Zginął na skutek wielkiej prowokacji w okresie rozwiązywania KPP.

Pamięć o nim nie może zagaść!

H. GRABOWSKA

TEGO JESZCZE NIE BYŁO — NOWA MODA W USA



Fryzjer, który przystroił ową damę, nie zadowolili się wzorami zaczerpniętymi z pięknie upierzonych ptaków, ale poszedł jeszcze dalej... A więc odulacja i loki nie będą już więcej potrzebne! Zapanuje prostota i symetria na głowach (nie w głowach — przyp. red.) Amerykanek. Jeżeli głębiej sięgnąć do źródeł natchnienia owego fryzjera, wówczas wypadłoby przypaść, że oparł się na wzorach dawnych wojowników indiańskich ze szczepu Mohawków. Cała nadzieja w tym, że uroczej modelce, która stała się ofiarą najnowszej mody lansowanej w Ameryce, włosy szybko... odrósł!

Przyczynę do powstania chłopów wielkopolskich w 1651 r.

Gdy chwała boża rosła na krzywdzie ludzkiej

Przed 5 laty historyk ukraiński I. S. Miller opublikował rozprawę pt. „Krestianskoje dwiżenie w Wielkiej Polsce w 1651 g.”. Była to pewnego stopnia rewelacja naukowa. Do tego czasu bowiem mówiono o buncie kozaczyzny pod wodzą Chmielnickiego i o rozruchach podkarpaccich pod wodzą Kostki Napierskiego. Burżuazyjni historycy jakoś milczeli o powstaniu chłopów wielkopolskich przeciwko magnatom, nie umieli przedstawić przebiegu „rebelii” chłopskiej. Prof. I. S. Miller oparł swoją pracę na rękopisach bibliotek lwowskich, a szczególnie ze zbiorów Baworskich i Ossolineum, oraz na pamiętniku Stanisława Oświęcimy i kronice Jana Wawrzyńca Rudawskiego.

I. S. Miller nie przeprowadził badań na terenie powstania chłopów w Wielkopolsce, tj. w pow. konińskim, nie miał też możliwości zaznajomienia się z materiałami zawartymi w nielicznych monografiach niektórych miejscowości. Poznańscy zaś historycy, zamiast poprowadzić dalej badania, zadowolili się tym, co zostało opublikowane. Tymczasem wiele niejasności w pracy historyka ukraińskiego aż prosi się o uzupełnienie dociekań.

Na przykład — I. S. Miller cpiłając się na zeznaniach

Kułakowskiego twierdzi, że główny rejon agitacji prowadzonej przez wysłanników Bohdana Chmielnickiego znajdował się pomiędzy Poznaniem a Międzyrzeczem — w rzekomo małym miasteczku położonym ponad 100 km na wschód od Poznania. Tymczasem taka miejscowość nie istnieje i nie istniała w tych okolicach. Raczej sądzić należy, że akcja mogła mieć nasilenie właśnie na zachód od Poznania, ale bez efektu. Przecież praca agitacyjna napotykała na kontrakcję ze strony dworu, a szczególnie duchowieństwa, które stało na straży ówczesnego porządku społecznego, to znaczy na straży interesów szlachty.

Jak wiadomo, powstanie w buchu w lasach królikowskich niedaleko Pyzdr i Łądu. Tu też narzuca się pytanie, dlaczego właśnie w tej okolicy. I. S. Miller nie odpowiedział na to, brakowało mu materiałów dowodowych.

Do tego historycznego okresu zabrał się miłośnik regionu konińskiego, jeden z twórców Muzeum Konińskiego — amator-historik Zygmunt Pęcherski. Przejrzał wszystkie dostępne opisy miast, klasztorów i kościołów okolicznych, zbadał teren Królikowa i doszedł do bardzo ciekawych odkryć. Oto, co na podstawie zebranych materiałów pisze w art. „Patrząc na świątynię

w Łądzie”... 20 stycznia 1651 roku, a więc w tym samym czasie, gdy w gospodzie Jakuba Kołodzieja w Poznaniu wysłannik hetmana kozaczyzny Bohdana Chmielnickiego, Grzybowski, namawiał Kułakowskiego do udziału w powstaniu — opat klasztoru cysterskiego w Łądzie i wikary generalny zakonu w jednej osobie — Jan Pobóg-Zapolski (nazwisko dotychczas nie znane w publikacjach o powstaniu wielkopolskim w r. 1651 — przyp. J. P.) — zawarł kontrakt z Tomaszem Poncino, architektem włoskim, który zapisał się w dziejach Poznania budową Fary. Tomasz Poncino miał zabrać do budowy świątyni w Łądzie.

„Domyślami się — pisze dalej Z. Pęcherski — że opat Zapolski nałożył na poddanych nowe daniny, które ściągali dzierżawcy klasztornych folwarków. Takim dzierżawcą był i Niedźwiecki z Królikowa. Jasne, że on jako ramię klasztoru z wielkim zapalem ujął Kułakowskiego agitującego chłopów w Królikowie do buntu, a potem wydał go na tortury do Kalisza.

Rozumiemy teraz, dlaczego przystąpił do powstania chłopów z dóbr cysterskich (obszar połowy powiatu konińskiego — przyp. J. P.). Tu panował największy wyzysk.”

Ten wyzysk opierał się nie tylko na daninach pieniężnych i w naturaliach, ale na przechodzących możliwościach chłopów robotniczych, jak na przykład zwózce kamieni, cegły, pracy pomocniczej itd.

Charakterystyczne, że wszystkie wspaniałe kościoły na naszym terenie budowane w okresie szlacheckiej rzeczywistości wyrastały z krzywdy ludzkiej, z ubydeń chłopów. Pyszne kościoły, w których kamienne nagrobki wysławiały fundatorów, były przeważnie otoczone przez wałce się chaty. Księża niechętnie dawali na cel „boży” ze swojej szkatuły. Fakty: drewniane kościoły w dobrach biskupich (Domachowo, Buk, Dolsk i inne miejscowości).

Budowa kościoła ładeckiego ma w owym czasie analogię w Lanckoronie pod Krakowem. „Pobożny” starosta Mikołaj Zebrzydowski, aby rozbudować klasztor bernardynów i pobudować 30 kaplic (słynną Kalwarię Zebrzydowską, miejsce pielgrzymek) tak podniósł robotnicze i daniny chłopom, że wedle wyroku referendarskiego z r. 1670 miały być one stosowane w późniejszym okresie tylko dla opornych³⁾. Chłopi lanckorońscy o swoje prawa dobili się do sądów referendarskich, do króla, zaskarżali starostę, chłopi zaś opactwa cysterskiego w Wielkopolsce nie mieli innego wyjścia, jak tylko chwycić za broń. Podlegali przecież wyłącznie opatowi, wszystkim inne instancje sądowe były dla nich zamknięte.

„Rebelia” chłopów w dobrach ładeckich była groźna szczególnie dla biskupa poznańskiego, który w pobliżu miał rezydencję (Ciążen), i groziła zawładnięciem na województwo kaliskie, poznańskie, a także Ziemię Sieradzka, gdzie kręcił się równocześnie emisariusz Chmielnickiego. Stąd tak gwałtowne ściąganie wojsk biskupich, królewskich, na których czele stanął sam opat Jan Zapolski.

Gdzie stoczono bitwę?

List Oświęcimy mówi o okopywaniu się powstańców na dworze królikowskim (około 20 czerwca 1651 r.). „Przeszła kułak lasy w okolicach Królikowa — pisze we wspomnianym artykule Zyg. Pęcherski — nie dołżałem znaleźć śladów okopów. Jest natomiast w samym Królikowie pierścieniowate grodzisko wczesno-historyczne. Grodzisko stoi na gruncie podmokłym, w pobliżu Czarnej Strugi. O kilkaset metrów zaczyna się obecnie las. Czy można przypuszczać, że za tym „okopem” bronili się powstańcy? Było ich około 2 tysiące, a więc liczba poważna. Jeśli zajmowali grodzisko, to musiały po nich pozostać jakieś ślady.”

Zygmunt Pęcherski swoimi amatorskimi badaniami przyczynił się do rozszerzenia wiedzy o powstaniu chłopów wielkopolskich w XVII wieku. Jeszcze wiele tajemnic spoczywa na pewno w niezaawanszonych i niedocenionych zapiskach. Wiele też dowodów kryje w sobie ziemia, na której toczyła się walka chłopów o prawo do takiego życia. Praca prof. I. S. Millera domaga się dalszego uzupełnienia. A to już pod adresem poznańskich historyków.

J. PIEPRZYK

P. S. Portret trumienny pobożnego „dusichłopa” opata Jana Poboga-Zapolskiego znajduje się w kościele w niedalekim Zagorowie i w sali opackiej w Łądzie. Malarz przedstawił go jako człowieka o twarzy dumnego szlachcica z przenikliwymi oczami.

1). I. S. Miller — „Powstanie chłopów na Podhalu w r. 1671 i ruch chłopski w Wielkopolsce w r. 1651” — Książka i Wiedza, 1952 r.

2). Patrząc na świątynię w Łądzie — Głos Włp. 21. III. 56 r. wyd. AB.

3). O chłopie prawa — J. Bieniarzówna — str. 105.

Stanisław Hebanowski

Z okazji premiery

O „LECIE” RITTNERA

Prot Orsza w swoim artykule o repertuarze teatrów, umieszczonym w „Widnokręgu”, tak mniej więcej rozprawił się z Rittnerem. Po co „odkrywać” już dawno odkrytego Rittnera? Trzeba by raczej pomyśleć o zaniedbanym w Poznaniu współczesnym teatrze zachodnio-europejskim. Nie mało tam przecież ciekawych pozycji.

Chcę odpowiedzieć Protowi Orszy muszę zacząć od kilku faktów powszechnie wiadomych, lecz — jak się okazuje — czasami przeciecznych. A więc: Tadeusz Rittner (1873—1921) ma wybitną pozycję w historii naszej literatury i nigdy go Poznań nie „odkrywał”.

Miedzy innymi napisał następujące sztuki: „W małym domu”, „Głupi Jakub”, „Don Juan”, „Człowiek z budki suflera”, „Wilki w nocy”. Postać Marii z Małego domu jest moim zdaniem jedną z najpiękniejszych postaci kobiecych w naszej literaturze dramatycznej. W sztukach Rittnera występowali nasi znakomici aktorzy. Wystarczy, że przypomnę tylko kilka wielkich ról Szambelana w „Głupim Jakubie” grali Mieczysław Frenkiel, Kazimierz Kamiński, K. Junosza — Stepanowski, J. Sosnowski. Karol Adwentowicz pozostał dla tych, którzy go widzieli, niezapomnianym doktorem. „W małym domu” Marię Dulę bę sam Rittner uważał za najbardziej wzruszającą Marię. Józef Węgrzyn był świetnym prokuratorem w

„Wilkach w nocy”, a Juliusz Osterwa — „Don Juanem” — Henrykiem Wizelinem w „Człowieku z budki suflera” i Torupem w „Lecie”. Rola Torupa grał także Aleksander Węgierko, Maję — Irena Solska, a doktora — Ferdynand Feldmann, Knaśkę — Zawadzki i Kazimierz Justian. Chociaż pod koniec życia Rittner pisał swoje sztuki naprzód w wersji niemiejkiej (prapremiera „Lata” odbyła się w r. 1912 w wiedeńskim „Burgtheater”) — nigdy jednak nie zerwał swych związków z krajem. Talent Rittnera doceniali także pisarze, jak Henryk Mann i Stefan Zweig. Serdecznym przyjacielem pisarza był światowej sławy aktor Moissi.

A dziś — jeżeli zestawimy intelektualne groteski Rittnera („Lato” — „Człowiek z budki suflera”), nie wystawiane w Polsce po wojnie, ze sztukami współczesnych autorów francuskich (A. Chard, Aronih, a nawet Girardoux — np. „Apollo” — „Bellac”) to porównanie okaże się dla Rittnera bardzo pomyślnie.

Rittner, podobnie jak Girardoux pokazuje ludzi i zdarzenia z różnych perspektyw, akcję prowadzi na zasadzie niespodzianki; często operuje paradoksalną sytuacją, nieoczekiwaną reakcją psychiczną. Ale pod tą naskórkową akcją istnieje nurt drugi, głębszy i mocniejszy. Rittner nie bawi się kolorowymi szkiełkami, ani nie wypuszcza fantastycznych ptaszków po to tylko,

żeby było ładnie i wesoło. Nie chce wymigać się od odpowiedzialności za własne słowa. Osądza swe postacie. Nie prezentuje widzom galanterii teatralnej.

W „Lecie”, w tej lirycznej tragikomedii, podobnie jak w baśni, fikeja spłata się z rzeczywistością. Postacie podpatrzone z codzienności, skwitowane ironicznie przez umiemych autorów, przenoszą się nagle w inny wymiar, ażeby powrócić w końcu do swych właściwych proporcji. Czary rozsiewa tu doktor, ale robi to niezdarnie, jak ów uczeń czaroksiężnika, który nie potrafi zatrzymać rozruszanych przedmiotów. Dopiero życie, ze swoim nieuniknionym biegiem wypadków, przeprowadza bolesną korektę ludzkich poczyni.

Torup może buntowniczo rzucić wyzwanie śmierci, ale będzie działał jedynie w sferze swoich maluczkich możliwości. Wróci znów do swojej samotności bogatszy o rozczarowanie i wstyd.

Bo wszystkie te pocieszne i smutne figurki, starające się znaleźć jakąś pozę, stanowisko wobec innych i siebie i szukające prawdy tylko we własnych sercach — nie zdają sobie zrazu sprawy, że są czekami bez pokrycia, małymi człowieczkami o „niewypłacalnych duszach”, jak to na innym miejscu Rittner określił.

Dlatego też wszyscy ponoszą klęskę. „Po co ja byłam?” pyta z bólem Maja. Lepiej umrzeć niż tak żyć — odpowiada Torup, rzucając się do morza.

Niepełnowartościowy ptaszek

— Nasz Słownik — powiedział Wrona, kręcąc łbem — nie jest pełnowartościowym ptaszkiem. Umie tylko śpiewać i wywozić wysokie trele. Nie ma talentu do krzyku, jak np. Jastrząb, trątkotania, jak Sroka, albo, powiedzmy, krakania, jak Wrona. Ta lent Słowika jest zbyt jednostronna.

— Słownik nie będzie Jastrzębiem — odpowiedział Czyżyk. — Słyszałem, że ludzie krytykują poetę-liryka za to, że nie pisze bajek, a satyryka za to, że nie tworzy pieśni lirycznych.

— Czyżby? — zapytała Wrona. — A dlaczego oni w bajkach przedstawiają mnie zawsze jako głupia?

OKIENKO na ZACHÓD

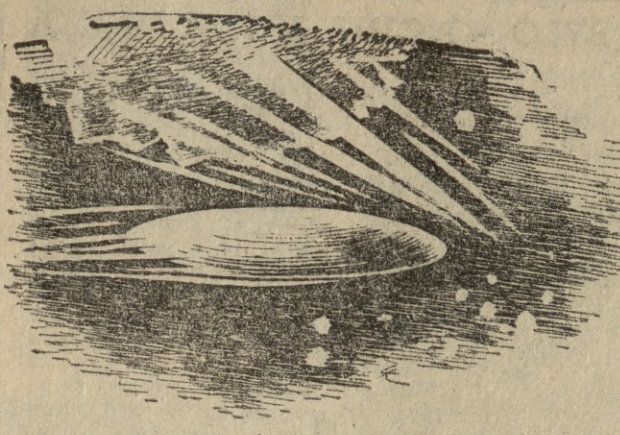
STARY, ALE JARY

Przed komisją miejską w Szokholmie stało do przegrądu auto z 1913 roku. Z góry było oczywiste, że wehikuł trzeba będzie odstawić do lamusa. Gdy doszło jednak do ostatniej próby, mianowicie na sprawnie hamulców, samochód-weteran zahamował tak sprawnie a przy tym gwałtownie, że jadący za nim wóz z komisją wpadł na „staruszkę” i uszkodził sobie chłodnicę. Władze komunikacyjne Szokholmu widziały się zmuszone przedłużyć owemu samochodowi licencję na prawo kursowania po drogach publicznych...

Jot.

WYROBIŁ SIĘ

Szwed Olaf Peterson, rodem z Malmö, ukradł w pewnej ustronnej willi nowoczesne radio. Niedługo cieszył się jednak nabytkiem. Zdementowano go i aresztowano w momencie, gdy jakiś przygodny kupiec, próbując odbiornik, nastawił długość fal na stację miejscową. Traf chciał, że speaker podawał właśnie komunikat ostrzegający przed złodziejem, a dokładnie podany rysopis zgubił amatora łatwego zarobku.



Rys. L. Kapczyński

Eugeniusz Morski

NA SZLAKACH KOMET

— Uwaga! Niebezpieczeństwo — krzyknął do mikrofonu — przyjaciele leżąca!

W skroniach tętniło. Jakiś straszliwy ciężar przyniósł klatkę piersiową. Wszystko rozpyliło się przed oczyma. Tuż obok, z głową wciśniętą w miękkie oparcie fotelu, siedział Sawcenko. Twarz miała białą jak porcelana.

„Co to może być?! — myślał Euve. — Czyżby potok meteorów? Ale jaki? Przecież uwzględnił wszystko!”

Przeniósł spojrzenie na ekran spektroskopu. Na powiększonym obrazie widniały wyraźne linie cjanu.

— Komet! Jakaś nieznana komet!!!

Przeglądał się chwilę prądkom. Odczytał na skali wskazania. Komet na szczęście miała kierunek zgodny z ruchem statku. — Czyżbyśmy lecieli po stycznej z jej orbitą? — pomyślał. — Może zdążymy utracić szybkość?

Czuł, że jest bliski omdlenia, mógł czuć jakby odłamek ołowiu. Chciał skontrolować odległość. Pięciocyfrowe liczby były zasnuwane mgłą. Instynktownie raczej odgadywał wskazania. Jeśli w ciągu kilkunastu minut nie nastąpi zderzenie, szybkość zostanie wyrównana.

Spojrzył w stronę Sawcenki.

— Zdążymy — szepnął.

Sawcenko zaprzeczył głową:

— Nie wytrzymamy przeciążenia — powiedział.

„Co się dzieje teraz w kabinach? — pomyślał Euve. — Przecież nie wszyscy zdążyli się przygotować? Czy Mira miała dość czasu na zabezpieczenie chorągwi? Jeżeli on i Sawcenko, mimo kilkuletniego treningu są u kresu, jak się czują inni?”

Z największym wysiłkiem Euve poruszył ręką i przesunął ją w kierunku tablicy przyrządów. Zdawało mu się, że przesuwając stokiogramy ciężar. Odpočzął chwilę, potem mrugając oczu wpatrywał się w świetliste linie oscylografu. Po pewnym czasie z największym wysiłkiem udało się mu zogniskować uwagę na liczbach tak, że przestały rozpylić się przed oczami.

Wahał się jeszcze chwilę: Czy nie przecenia swych możliwości? Czy potrafi zastąpić precyzyjną maszynę, która teraz gwałtownie hamuje statek, doprowadzając załogę do utraty świadomości?

— Nie wytrzymamy — powtórzył głuchym głosem.

Szybkim ruchem Euve wyłączył automat. Następnie cofnął dźwignię akceleratora jonowego i partrzał, jak wskazówka grawimetru powoli opadała. Poczuł ulgę. Uścisk na piersiach zelżał. Wracając do orientacji.

— Jak się czujesz? — rzucił w stronę Sawcenki.

— Oszałamiał — usłyszał zdziwioną odpowiedź.

Euve wpił się wzrokiem w ekran i zlekka obrócił gałkę sterową. Błyski się wzmogły. Euve obrócił w przeciwnym kierunku. To samo. Jeszcze parę manipulacji i mrugania jakby osłabły.

Dalej działał zupełnie odruchowo. Gdy przecięły ekran wygięte ku górze smugi toru pierwszego, oświetlonego słońcem bołidu, wskaźnik notował szybkość stu kilometrów na sekundę. Potem znów błyski. Zmienił kurs o pół sekundy i czuł, jak obryzania góra śmigła nad pokładem. Potem kilkakrotnie, drząc ze zdenerwowania, omijał mniejsze i większe meteory coraz leniwiej uciekające wstecz. Wreszcie wydało mu się, że błyski na tarczy zgasły.

— Czyżby to już była szybkość orbitalna komety?

Sprawdził wskazania. Statek biegł po orbicie eliptycznej. Mrugające oczy magnetometru wskazywały: na obecność w pobliżu niewielkiej masy. Euve włączył napęd i powoli jął posuwać statek w kierunku, gdzie natężenie było maksymalne. Ładował na ślepo na jakimś pędzącym ku słońcu odłamku skalnym. Po pewnym czasie zobaczył postać, skalista powierzchnia odcinała się od czarnego nieba. Sądząc po natężeniu pola odłamek był niewielki. Najwyżej parę kilometrów średnicy. Euve posadził statek na pochylonym skalnym uskoku. — Zawsze lepiej jest stać na kotwicy niż dryfować pomiędzy rafami.

Odpiął pasy i wstał. Od razu odczuł, że na kosmicznej skale, na której wyładował, ciążenie praktycznie nie istnieje. Kierunek dół-góra dawał się wprawdzie odróżnić, ale każdemu poruszeniu się towarzyszyło poczucie braku równowagi i częściej nicności.

Euve stał oszołomiony poruszając zdrtwiałymi rękami, aby przywrócić w nich krążenie, gdy nagle wydało mu się, że słyszy za sobą śmiech Sawcenki.

Przypomniał sobie o przyjacielu i obejrzał się zaniepokojony tym śmiechem. Ale Sawcenko już się nie śmiał.

— Brawo — powiedział, uwalniając się z pasów — gdybyś nie wyłączył automatu, rozgniotłoby nas, jak śliwki. To dobre na pojedyncze kamyczki. Ale nikt nie wytrzyma takiego przeciążenia przez dłuższy czas.

— Szczęście, żeśmy zaledwie przebrnęli szybkość paraboliczną — powiedział Euve i zaraz potem dodał: — No cóż, ponadprogramowo wsiadliśmy na głowę kometę. Teraz trzeba będzie pomyśleć, jak się z niej wydostać.

— — — — —

Gwałtowne przeciążenie, jakim w ciągu kilkunastu sekund poddany był statek, a później stosunkowo szybki zanik grawitacji, prawie u wszystkich podróżnych wywołał objawy choroby kosmicznej. Najwięcej ucierpiał Sawcenko. Z mężczyzną profesora Ren i doktor Carim. Wszyscy zresztą, z wyjątkiem Erivana i Dag Rossy w mniejszym lub większym stopniu niezdolni byli do jakiegokolwiek wysiłku.

Jean Loiseau miał pełne ręce roboty i z teczka w ręku, w białym kitlu snuł się jak duch po okrągłych korytarzach statku, udzielał pomocy najbardziej potrzebującym.

Wiadomość o wyładowaniu na głowie komety i szczegóły tego ładowania stały się głównym tematem rozmów doktorów z pacjentami. Doktor pod niebiosa wynosił Euve, który w warunkach bliskich utraty przytomności, ratując zagrożone życie załogi, wyłączył nieprawidłowo funkcjonujący automat i w piaskowisto-kamienistej chmurze, przekraczającej rozmiarami glob ziemski, osadził statek na twardym odłamku.

Po wyczerpaniu zasobu komplementów pod adresem nawigatora, doktor wyjmował narzędzia, badał puls chorego i ciśnienie krwi, kręcił powoli głową i mówił:

— No cóż, życie, to nałóg, nie łatwo go się wyzbyć.

Potem chrząkał parę razy i opuszczał kabinę.

Tymczasem sytuacja nie przedstawiała się różowo. Należało przeprowadzić nowe obliczenia, trzeba było zidentyfikować kometa i ustalić jej orbitę. Ponieważ Euve i Sawcenko po wypadku ulegli silnej reakcji nerwowej, pracowali tymi zajął się Dag Rossa wspólnie z Erivanem.

Ali Keer i Ivo Elro również zrezygnowali z praw urlopowiczów i zajęli się obserwacjami astronomicznymi. Pod dziwnym światłem świecącym niebem latających kamieni, astronomowie z trudem odnajdowali konstelacje zodiakalne, ustalając nowe położenie statku i jego skalistej podpory.

Bryła skalna, na której wyładowano, dokonywała obrotu dookoła swej osi w ciągu trzech godzin. W czasie półtoragodzinnego dnia rozgrzewała się do temperatury dwustu i osygała w nocy do stu stopni poniżej zera.

Obserwatorom od razu stało się jasnym, że pobyt na kamiennym odłamku jest bardzo niebezpieczny.

REFLEKSJE MŁODEGO ŚLEDZIENNIKA

ANDRZEJ NAPIERAŁA

Z zawodu jestem studentem. Posiadam jeszcze inny zawód. Miłośny. Ale ten się nie opłaca. Myślę więc sobie — trzeba jakoś żyć! I w ramach produkcji ubocznej param się piórem (trudno się z nim uporać, — ale jakoś tam się...)

Najlepiej — pisać o „odwilży”. No bo to na dworze mróz i śnieg — a jak o odwilży, to niby przewiduje. Wy-

biegam w tak zwaną przyszłość.

Napisałem artykuł pt. „Jazz — Coca-Cola — dekolty — a kształtowanie się świadomości moralnej i ideologicznej wśród studentów”. — I wysłałem do „Po prostu” (to takie pismo studenckie, w którym się pisze o wszystkim, i

o wszystkich, tylko nie o studentach).

Po tygodniu otrzymałem odpowiedź:

— Uprzejmie donosimy, że artykuł kolegi porusza aktualne zagadnienia, ale... jest za mało nowatorski. Nie zamieścimy. Łączymy serdeczne pozdrowienia

Redakcja.

Podobno o jazzie pisze już każde szanujące się pismo.

Wyczerpująca monografia w odcinkach o Coca-Coli dał już Putrament w „Przeglądzie Kulturalnym”.

W kwestii dekolty najbardziej autorytatywną instancją jest Kamyczek, Paulinka i Lucynka z „Przekroju”, a studenci już się ustosunkowali do tych zagadnień. Aktywnie.

W Poznaniu nawet będziemy wkrótce chodzili na „Jem session”. Jaki to człowiek zafofany. Ale to nie moja wina. Gazet!

Nie to, że nie czytuję. W każdą sobotę jestem w ciągłym „Ruchu” — ale nigdzie nie dostaje już nawet „Przyjaciółki”. Byli, ale wyszli.

Prenumerata — zapyta ktoś. Też nieaktualna. Tylko dla wsi.

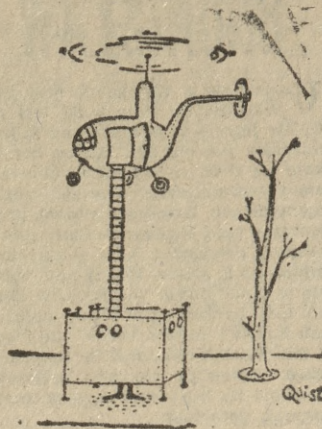
Ostatnio wpadłem jednak na genialny pomysł. Nawiązałem kontakt z ciocięcznym bratem po kadzieli, który w „Ruch-owicach” na Śląsku zajmuje się uprawą roli. Teraz on przysyła mi wszystkie ilustrowane i nieilustrowane czasopisma.

Począł także przysyłać się do tej akcji, dostarczając owe przesyłki z 2-tygodniowym opóźnieniem.

Jednak teraz to już się orientuję w zagadnieniach (nie)aktualnych. Trzeba sobie jakoś życie urządzić.

Poznań, w marcu 1956.

BEZ SŁÓW



Z CYKLU

J. Ksiński

Opowiadki niepedagogiczne

— Potrzebuję dziesięciu złotych — oświadczył despotycznie Staszek.

— Ja również — mruknąłem zza gazety.

— Co to ma znaczyć? — zaciekawili się synek.

— To, że nie dostaniesz. Może zresztą byłbyś łaskaw powiedzieć na co ci wyżej wymieniona suma jest potrzebna?

— Chcę iść z Jankiem do teatru.

— Byłeś tydzień temu. Trzeba się zresztą od czasu do czasu pouczyć.

— Teatr to też nauka!

— Możliwe! ale dzisiaj będziesz się uczył w domu.

— Więc nie dostanę?

— Nie!

— To wybije szybko! — zakrzyknął niefortunny wielbiciel Melpomeny.

— Histeria? Dostaniesz łanie to się uspokoisz.

— Daniel — oburzył się młody dociany dyskutant.

— Nie pierwszy chyba i nie ostatni raz.

— To ja wiem najlepiej że nie pierwszy — rozindywował się Staszek. Wstydyłbyś się. Pedagog i... łanie. A gdzie wpływ wychowawczy? Przecież teraz nie bije się...

— Ustawa jakaś? Sejm czy rada klasowa — zirykowałem się.

— Masz ci los! Czy nie czytasz że dzieci nie powinno się bić, bo to nie jest wychowawcze? A nas trzeba wychowywać. Jak się coś zbroi...

— Pogłaskać po głowce — zaironizowałem.

— No nie, ale zaprowadzić do kina, do teatru, wskazać dobrego przykład, wyperswadować... a ty, zaraz o pasie. Poszedłbyś do naszej szkoły na zebrania rodziców. Dyrektor o tym mówił. Ojciec Janka był.

— No i co z tego?

— Jakto co? Janek codziennie stara się coś zbroić i ojciec za to chodzi z nim wieczorami do kina.

— Za to?

— Ano właśnie — ożywiła się pociecha. Żeby go wychować. Dzisiaj rano wybił na przykład szybę wystawową i liczy, że za to kino już nie wystarczy, a więc będzie teatr. U Jurka też tak było, tylko — tu zafrasował się nagle — ostatnio ojciec poznał się na tym i spuścił mu łanie.

Rozmowę przerwały wrzaski dochodzące z sąsiedniego mieszkania. Głos Janka nie był trudny do zidentyfikowania.

— Janka ojciec też zdaje się już zorientować się — zauważyłem z uśmiechem.

— Coś mi się wydaje, że raczej tak — smętnie stwierdził Staszek. No, to z teatru nici.

— Więc jak będzie?

— Pójdziemy jak ty zdecydować — zgodził się łaskawie Staszek. A co do szyb to się nie martw. Nie opłaci się jednak.

— A taki był dobry system wychowawczy — westchnął — tyle tylko, że ci ojcowie jeszcze strasznie zafofani.

Odcinek dziesiąty

jęki. Pamiętał, jak bronili się ostatkiem sił w obłędnych strachu, przed głosem, który jak podziemny grzmot, wydobywający się z mroku, nawoływał go do biernego poddania się losowi. Podobny głos płynął spod średniowiecznych mrocznych sklepień, przed wiekami skazywał czarownicę na spalenie na stosie.

Rozejrzał się. Zamiast tajemniczych mrocznych arkad i niszy otaczały go okrągłe ściany. Coś jakby czyste mruganie błękitu. Wokoło nikogo, kompletna cisza. Zaprzęgał przetrzeć oczy. Głowę miał okrytą szklanym kloszem.

— Co się ze mną stało? — pomyślał, powoli odzyskując świadomość. — Gdzie ja jestem?!

Ruszył przed siebie. Miał stałe wrażenie, że prawie nie dotyka ziemi. Kręte, spiralne tunele wiodły go w dół. Niesamowity, martwy labirynt.

Przystanął i oparł się o jakąś ścianę. Ściana cofnęła się: W podłożu ciemnego pomieszczenia widniał otwór wiazu, rzucający okrągły, oświetlony cień w czarną głębię.

Nagle zobaczył, że ściana naprzeciwko się usuwa i jakaś biała postać wyłania się na spotkanie, świecąc opalizującą głową. Cofnął się o krok i poczuł, że zapada w pustkę.

(Ciąg dalszy za tydzielem)



Rys. E. Derwich

Fraski

Julian Mikołajczak

MAŻ AKTUALNY

Rozpoczął z wieloma romanse, miłości, opuściwszy żonę. Tępi kult jednostki.

PO SESJI RADY KULTURY

Cenne wypływają z narady nauki Dla Administrstwa Kultury i Sztuki.

GŁOS LEKARZA W DYSKUSJI LITERACKIEJ

Ja myślę, że sztuce recept żadnych nie trza, Chora potrzebuje po prostu powietrza.

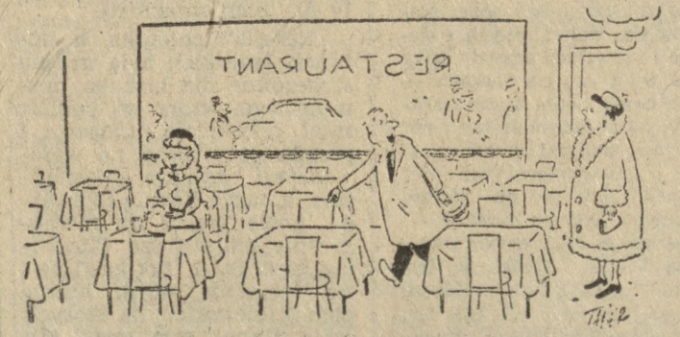
Włodzimierz Scisłowski

O PEWNYM

Słyszę o tobie coraz częściej, rzecz, która śmiechem mnie napawa: Cenią cię ponoć za obejście... (hm... za obejście — ale prawda!)

POCZĄTEK

Zaczął od westchnień i ziewania, cukier w herbatę wrzucił: plusk! I włączył tok urzędowania, wyłączył zaś pośpieszenie mózgu.



— Ha! Tu jeszcze jest wolny stolik, Lizo.

„Ulienspiegel” — Amsterdam